

Ziarno



ANDREA DEL SARTO.

ZWIASTOWANIE N. M. PANNY.

Opieka nad rękodzielnictwem.



by utworzyć silne kadry średniego mieszczaństwa polskiego, trzeba wiele wnieść światła do warsztatów rzemieślniczych, wiele włożyć pracy nad przekształceniem analfabetów zawodowych w wyrobionych życiowo i wykształconych zawodowo pracowników.

Należałoby przede wszystkim zająć się sprawą terminatorów rzemieślniczych. Przechodzi coraz bardziej do historii terminator, nianczący dzieci majstrowskie i używany do posług domowych przez majstrów i czeladników. Uczeń dzisiejszy dopuszczony jest do pracy warsztatowej i nawet w tym kierunku dużo bywa zazwyczaj ćwiczony. Kilkanaście bowiem godzin na dobę pracuje na majstra za darmo, czasem nawet w początkach z dopłatą z strony swych rodziców „za naukę”, w najlepszym razie za skromnym bardzo pod koniec terminu wynagrodzeniem. Ilość uczniów nie jest ograniczona i to jest zło, które trzeba by na drodze prawodawczej przy reformie ustaw rzemieślniczych bezwarunkowo usunąć. Każdy majster cechowy ma prawo zapisu dowolnej ilości uczniów do cechu i wypisania ich następnie na czeladników; to też zazwyczaj posiłkuje się przeważnie terminatorami przy mniejszej ilości czeladników.

Praktyczne zaznajamianie z fachem dla dobra terminatora, i majstra — na plan dalszy odsuwa kształcenie ogólne; posyłanie go do szkoły nie jest przez wielu majstrów uważane za konieczne. Przy zapisywaniu zaś do cechów terminatorów bez żadnego przygotowania szkolnego, nie umiejących nawet czytać i pisać — nie wpływa bynajmniej na przysparzanie pożądanych kadrów młodych pracowników.

Trzeba dążyć do utworzenia całej sieci szkół w kraju, w którychby rozpoczynali naukę pragnący pracować w rzemiosłach; praktyka w warsztatach winna być poprzedzana przynajmniej wykształceniem ogólnym w zakresie szkoły elementarnej i zawodowym na kursach przygotowawczych. Powinna przytem być znacznie skrócona i dozwolona tylko w warsztatach prowadzonych wzorowo, gdzie rzeczywiście praktykant mógłby nabyć niezbędne wiadomości praktyczne i uzupełnić wiadomości teoretyczne, na kursach zdobyte. Kursy przygotowawcze powstawaćby mogły czy to przy szkołach elementarnych miejskich, czy przy cechach, prowadzone przez wydelegowanych przez urząd starszych majstrów cechowych bezpłatnie. Majstrowie ci mieliby właśnie wyłączne prawo trzymania uczniów w swych warsztatach; koszty więc utrzymania kursów byłyby nieznaczne. Po ukończeniu kursów przygotowawczych i odbyciu praktyki — byłoby pożądane, aby kandydaci na czeladników mogli uczęszczać jeszcze do szkół zawodowych rzemieślniczych ogólnych z oddzia-

łami dla poszczególnych gałęzi rzemiosł, czy też specjalnych dla danej branży, w których również byłyby prowadzone wykłady z zakresu towaroznawstwa i wogóle umiejętności handlowych. Dobry bowiem rzemieślnik winien być i kupcem zarazem, winien być obeznany z książkowością i prowadzeniem korespondencji — nie każdego bowiem majstra, mającego własny warsztat i sklep, stać na odpowiedni personel. Zanim jednak szkoły takie powstaną w znaczniejszej ilości — i utworzenie kursów niższych przy szkołach elementarnych miejskich lub przy cechach byłoby z korzyścią dla terminatorów, a dałoby się skutecznie bez wielkich trudności. Trzeba tylko dobrej woli ze strony urzędów starszych i majstrów cechowych.

Po za sprawą wykształcenia zawodowego pracowników rzemieślniczych — jest druga jeszcze niemniej paląca sprawa utworzenia internatu dla terminatorów. Warunki współczesnego życia, drożyzna mieszkań — utrudnia w znacznej mierze opiekę nad terminatorami przez majstrów po za godzinami pracy.

Czas wolny od zajęć warsztatowych majstrowie muszą poświęcać: czy dla załatwiania swych interesów, czy dla uczestnictwa w obradach cechowych, czy związku rzemieślników lub instytucji współdzielczych, lub też na odpoczynek w gronie swych rodzin i na konieczne rozrywki. Nie mogą urabiać swych praktykantów na rozumiejących swoje obowiązki względem swoich i kraju obywateli. Tego od nich wymagać niepodobna.

Pozostawieni samym sobie, pozostawieni często kroć wychowaniu ulicy, bez właściwego kierunku — młodzi chłopcy niejednokrotnie staczają się po pochyłości życia wielkomiejskiego. I dlatego, zwłaszcza w Warszawie i w większych miastach Królestwa, powstać winny bursy dla terminatorów, w których znajdowałyby pomieszczenie i stosowną opiekę terminatorzy rzemieślniczy, pozbawieni pieczy rodzicielskiej.

Założenie takich burs dla praktykantów rzemieślniczych wymaga już znacznych nakładów i dlatego w tym celu należałoby powołać do życia osobną instytucję czy też sekcję przy towarzystwie rozwoju przemysłu, rzemiosł i handlu, jako patronat nad terminatorami i pracownikami rzemieślniczymi.

Przypuszczać należy, iż patronat taki mógłby liczyć na poparcie naszego społeczeństwa, zwłaszcza sfer przemysłowych i ziemiańskich, potrzebujących do fabryk i do majątków uzdolnionych rzemieślników i zarazem pracowników światlejszych, życiowo bardziej wyrobionych.

Palącą również potrzebą w dziedzinie rzemiosł jest sprawa należytego uregulowania pośrednictwa pracy. I nietylko dla czeladników poszukujących zajęcia,

lecz i dla rzemieślników, ofiarowujących własne wyroby innym, zamożniejszym do spieniężenia. Jest wielu ubogich rzemieślników, którym szczęście niezbyt dopisało — czy to w skutek klęsk życiowych, chorób, czy też niezaradności i braku woli, którzy własnych warsztatów właściwie nie posiadają i sami jedynie wyrabiają jakiś towar, lub też części niezbędne do różnych wyrobów rzemieślniczych. Zdarza się dzisiaj niejednokrotnie w sklepach zamożnych rzemieślników, wybitnych nawet i biorących udział czynny w życiu społecznym być świadkiem przykrych nad wyraz zdarzeń: oto rzemieślnik ubogi przynosi pracę rąk swoich do sklepu zamożniejszego, lepiej przez los uposażonego kolegi i albo zostaje wyzyskany i otrzymuje zaledwie trzecią część tej ceny, za którą sprzedaje później towar nabywca — lub bywa odprawiony z niczem. Krzywda, czyniona tym biedakom, którzy żebrac nie chcą i nie umieją, a którym swojej pomocy nie dają, jest zbyt wielką. Patronat i w tej dziedzinie mógłby odegrać poważną rolę! Mógłby doprowadzić do założenia bazaru tanich wyrobów rzemieślniczych, któryby

nabywał prace rękodzielników, w domu przez nich wykonane, bez strat, a z zarobkiem dla uboższych. Mógłby wypożyczać im towar i narzędzia do pracy w własnych warsztatach pod kierunkiem odpowiednich instruktorów, którzyby usiłowali zwiększać zasób ich wiadomości fachowych i dopomagali im do zwiększenia wydajności i wartości ich pracy. Zabiegi o wydarcie z szpon nędzy i żydów biedaków, którym w życiu wiatr ciągle wiał w oczy, musiałyby być jednym z najważniejszych zadań patronatu.

I gdyby udało się utworzyć taki patronat—mniej byłoby wypadków tragicznych na bruku warszawskim, mniej niedoli wśród naszego ludu miejskiego na prowincji.

I dlatego, zdaje się, należałoby o tem pomyśleć. Cechy i organizacje rzemieślnicze same nie są zdolne zadosyćczynić wszystkim potrzebom rzemiosł w kraju naszym, nie są w możności polepszyć doli szerokich warstw naszego narodu. To zadanie i obowiązek całego społeczeństwa.

L. R.



PIOTR JAXA BYKOWSKI.

PAMIĘTNIKI WŁÓCZĘGI.

MYSZURES.

(C. D.).

Hamaniec, przyłożywszy lufy obu pistoletów do piersi barona, ozwał się do napastników:

— Kiedyście waćpanowie wojskowi, zaczynamy od parlamentowania... Na lewo w tył, o kroków dziesięć!... szable do pochew, pistolety w olstra!... Bacność! bo gdy doliczę do trzech, waszemu baronowi jak psu w łeb wypalę... Uwaga!... zaczynam liczyć: „Raz!...”

— Koledzy! na miłość Boga, spełnijcie tą komendę, bo ten szalenciec gotów mię zabić. Widzicie, mam dwie lufy przy piersi, jestem związany! — zawołał nieludzkim z przerażenia głosem baron.

Huzarzy na to zakłęcie usunęli się na żadaną liczbę kroków.

— Ot, tak to co innego, grzeczne z was wojskowi! Teraz możemy porozmawiać spokojnie, tylko wam jedno powiem, że mi djabelnie niewygodnie siedzieć w mej pozycji, a jeszcze, uchowaj Boże, stare łapsko zadrży, pociągnę nie chcąc za cyngiel i gotowem was pozbawić miłego kolegi — rozpoczął

Hamaniec z ironią, trzymając lufy pistoletów na piersiach barona.

A potem ciągnął dalej z zastraszającą zimną krwią:

— Widzicie, miłe smyki, chcieliście starego wróbla złapać na plewy, ale, jak to mówią: „na krzywą dziurkę, krzywy kołek”; nie taki ze mnie jeszcze niedołęga... Ot, powiem wam co, pocznijmy sobie według reguły wojskowej; odejdźcie sobie na parę set kroków, a wyszlujcie do mnie parlamentarza bezbronnego, może zawrżemy zawieszenie broni?

— Co u diabła, koledzy, damy sobie imponować? uderzmy razem na tych urwipołciów! — zawołał jeden z przybyłej kupki i cwałem, z podniesioną bronią, popędzili do ataku na powóz.

— „Dwa!” — krzyknął Hamaniec głosem, w którym brzmiał wyrok niechybnej śmierci.

— Stójcie, na miły Bóg, koledzy, tu idzie o życie! — zaryczał z koleji baron rozpaczliwie, czem od razu powstrzymał huzarów, że jak wkopani stanęli na miejscu.

— Ot tak, widzicie, to co innego! Lepiej wprzód parlamentować, a potem, jeżeli wola, orężem zemścić śmierć waszego kolegi, która łatwo nastąpić może, bo owo „trzy” nie tak trudne do wymówienia, a jakem żołnierz, słowa nie cofnę.

— Czegóż nakoniec waćpan żadasz? — zapytał starszy z przybyłego orszaku.

— Parlamentarza.

— Więc parlamentujmy.

— Ej! nie tak, podług regulaminu wojennego: Oddalcie się na paręset kroków, wywieście białą płachtę, jak się należy, i mój wysłaniec pójdzie dla przyprowadzenia parlamentarza, rozumie się bezbronnego, dla uniknięcia przypuszczalnego fortelu, a potem zobaczymy, czy wymówić owo „trzy“. A uprzedzam was, że mię ogromnie język swędzi...

Baron błagalnym wzrokiem poparł żądanie Hamanica.

— Zgadzą się — ozwał się starszy i odprowadziwszy swój orszak na żadaną metę wywiesił białą chorągiew.

Skoro ją ujrzał Hamaniec, zawołał na sierżanta:

— Oddaj lejce towarzyszowi, sam idź, przyprowadź parlamentarza, tylko uważaj, żeby nie miał broni ukrytej, za wszelki podstęp odpowiesz mi. Możesz mu oczu nie zawiązywać, bo już wypatrzyli naszą twierdę.

— Słyszę, panie pułkowniku — odparł Walek i w niedługą chwilę wracał z parlamentarzem, którego bezbronność wprzód dokładnie sprawdził.

Parlamentarzem był major Sł., wołynianin, częsty gość Słotwian, żyjący w zażyłości z Hamanicem. Przystąpił zatem do niego z otwartością wojskową i od razu rubasznie zagadnął:

— Powiedzże mi, pułkowniku, czego mianowicie żadasz od naszego kolegi? — zapytał, wskazując na barona.

— Jeszcze waść pytasz? — odrzekł surowo Hamaniec, ukazując zemdloną Olimpię obok kochanka.

— Cóż w tem tak wielkiego? Dziewczyna uciekła z chłopem... Czyż to nowina dla nas, starych wiarusów, taką sztukę wypłatać? — odparł major z uśmiechem.

— Może tam dla kogo i „sztuka“ — rzekł Hamaniec surowo — lecz nam tu o cześć chodzi; jam jej opiekunem, a mój kolega narzeczoną... to jest był, ale już nie jest, bo mu shańbili oblubienicę. Pogwałciliście podwójnie prawa gościnności, naszej i waszej, zapraszając nas do siebie, aby koledze dać czas do spełnienia występku... U nas to nie „sztuka“, a sam, majorze, nazwij to odpowiedniej, jeżeli potrafisz!...

Zmieształ się parlamentarz na surową apostrofę i od razu odpowiedzi nie znajdował, aż w końcu rzekł:

— Więc przypuścmy, iż zło się stało; lecz jakże mu zaradzić?

— Wybrałem dwie drogi wyjścia, od których nie ustąpię: albo naprawi krzywdę wyrządzoną panie przez zaślubienie, lub...

Nie dokończył Hamaniec, lecz tylko wyrazistym gestem wskazał na pistolety.

Widząc tą nieugiętą wolę, pobladł i parlamentarz, bąkał tedy tylko, aby zyskać czas do namysłu:

— Ale, pułkowniku, czyliż to szlachetnie? zawsze to zabójstwo bezbronnego, rzecz nierycerska... Gdyby pojedynek, nie mówię...

— Powiedziano: „nie zabijaj“, ale także i „nie



Grupa współpracowników wraz z kierownikami Domu Handlowego: F. Jędrzejowski i S-ka w Warszawie.



Wł. Nałęcz.

Z sonetów krymskich Adama Mickiewicza.

Adam Mickiewicz.

Mogiły haremu.*)

*Tu w winnicy miłości niedojrzałe grona
Wzięto na siół Allaha; tu perełki wschodu,
Z morza uciech i szczęścia porwała za młodu
Truna, koncha wieczności, do mrocznego łona.*

*) W rozkoszonym ogrodzie, wśród wysmukłych topoli i drzew morwowych, stoją grobowce z białego marmuru chanów i sułtanów, ich żon i krewnych; w pobliskich dwóch budowlach leżą trumny zwalone bez ładu: były one niegdyś bogato wybite; dziś sterczą nagie deski i szmaty całunu.

*Skryła je niepamięci i czasu zasłona;
Nad niemi turban**) zimny błyszczy wśród ogrodu,
Jak buńczuk wojska cieniów, i ledwie u spodu
Zostały dłonią Giaura***) wyryte imiona.*

*O wy róże edeńskie! u czystości stoku
Odkwitnęły dni wasze pod wstydu liśćmi,
Na wieki zatajone niewiernemu oku.*

*Teraz, grób wasz spojrzenie cudzoziemca plami!...
Pozwalam mu, — darujesz o wielki proroku! —
On jeden z cudzoziemców poglądał ze łzami.*

**) Muzułmanie nad grobami mężczyzn i niewiast stawiają kamienne zawoje innego dla obu płci kształtu.

***) Giaur, poprawniej kiafir, znaczy niewierny. Tak muzulmanie nazywają chrześcijan.

kradnij”, a pojedynek możliwy jest tylko między ludźmi jednakiej honorowej wartości, ale nie z złodziejem i gwałcicielem... Układy chyba skończone, bo na tym punkcie nie porozumiemy się!

— Krótko powiem — prawil dalej Hamaniec, zapalając się gniewem — wszystko to do niczego nie prowadzi. Baron dobrowolnie jedzie teraz do ślubu, sam się na to zgodził, i oto dla was wóz albo przewóz: albo družbować koledze do wieńca, albo oddać mu ostatnią posługę. Jedno z dwóch wprędce nastąpić musi, na to macie parol oficera wielkiej armji! Możecie zatem przypuszczać atak, a ja swoje zrobię.

— Sierżancie — dodał, zwracając się do Wal-ka — miej się w gotowości, może parlamentarz zechce wrócić do swego obozu.

— Koledzy, ja się zgodziłem na żądanie pułkownika — słabym, zaledwie doszłyszalnym głosem wyszeptał jeniec.

— To chyba będziemy ci družbowali — po namyśle wyrzekł rubasznie major.

— Cóż teraz, pułkowniku, więc jedziemy razem, zgoda?

— I owszem, proszę, ale są jeszcze warunki do dopełnienia.

— Jeszcze?... a to jakie?

— Orszak wasz rozbrojony z nami podąży lub oddali się na przyzwoitą odległość w przeciwną stronę, przeprowadzony przez moich...

— Jak to! nie wierzysz, pułkowniku, żołnierskiemu słowu? — zapytał major, oburzony.

— Chciejcie wybaczyć, ale święte prawa gościnnosci po dwakroć pogwałcone nie mogą wyjść ze łba i nie przedstawiają żadnej rękojmi.

— Koledzy! proszę, zaklinam, skróćcie to moje udręczenie; niech mię żenią czy w łeb strzelają, jedno z dwojga, lecz pozostawać w takim zawie-

szeniu, to do niewytrzymania — ozwał się baron z rozpaczą.

— Czegóż nakoniec wymagasz, nieubłagany człeku?—ozwał się major do Hamańca.

— Złóżcie broń moim ludziom, a wtedy, jeżeli wola, prosimy na gody weselne.

— Zgoda, choć wymuszona rozpaczliwym położeniem kolegi, ale zgoda!

— Sierzancie! — komenderował Hamaniec — weźmiesz z sobą drugiego i przyniesiesz mi broń jegomościów tu do powozu, a wprzód wszelką palną wystrzelajcie w powietrze.

Podдали się konieczności huzarzy i stało się według żądania Hamańca.

Że to wszystko była młódź rozhulana, a sama bitna i lubiąca wszelkie strategiczne fortele, bardzo im się podobała przezorność i dzielność starego wojaka. Rozbrojeni natychmiast rzucili się staremu w objęcia i groźnie rozpoczęta utarczka przybrała na pozór wygląd weselnych godów. Jechali obok kolasy gwarząc wesoło. Na parol kolegów udobruchany Hamaniec zgodził się nawet na rozwiązanie rąk swego jeńca. (d. n.).



W krainę piękna.



*Czy pójdziesz za mną w pola, gdzie daleko
Brzozy stęsknione płaczą ponad rzeką?
Gdzie cicho liście opada w jesieni
I wiatr szalony wody chłodne pieni?*

*Czy pójdziesz za mną na skalne wyżyny,
Skąd wód kaskady spadają w doliny,
Gdzie szumią jodły swoją pieśń radosną
Na stromych stokach, co się kwiecą wiosną?*

*Tam spokój, jasność i piękno w naturze,
Tam płoną w słońcu dzikie, krasne róże,
Tam wolny sokół płynie nad urwiska,
Gdy tu, przy ziemi, boleść serce ściska.*

*Patrz, tam widnieją zamczyska ruiny,
Owite splotem bluszczu i kaliny,
Pod niemi wody niesie żleb skalisty
Jasne kryształ, jak twa dusza czystej.*

*Idźmy, gdzie białe witają nas chmurki,
Gdzie w zieleń stroją się wonne pagórki,
Gdzie słońce woła nas w bezkres daleki —
Tam już, o miła, zostanemy na wieki!*

Feliks Pytliński.



Szkoła jezuicka.

(Szkic historyczny).

W roku 1622 sprowadził biskup chełmski, ksiądz Jan Kuczborski, do Grudziądza jezuitów, którzy założyli tam po dwudziestoletniej błogiej pracy szkołę, tak zw. kolegium. Było ono z początku bardzo skromne, mieściło się w starym domku, utrzymywało się tylko z jałmużny.

Lecz wnet posypały się hojne datki zamożnych rodzin polskich, tak iż w roku 1651 można było budować dwupiętrową szkołę. Gdy ta po wojnie szwedzkiej groziła ruiną, wzniesiono nową w r. 1718, dzisiejszy ratusz grudziądzki.

W szkole tej było pięć klas, z których jednakowoż dwie najwyższe, może z powodu braku uczniów, czasami były zamknięte. Kto chciał być przyjęty do szkoły jezuickiej, musiał umieć czytać i pisać.

Uczono podobnie jak w naszych gimnazjach języka łacińskiego i greckiego, matematyki, historii i jeografji, bardzo dużo zaś ćwiczone uczni w mowie i wierszowaniu. Musieli pisywać wiersze albo tłumaczyć i uczyć się ich na pamięć. Wierszami witano gości, na cześć senatorów i posłów zebranych w Grudziądzu na sejmik jeneralny dawano przedstawienia teatralne. Przedewszystkiem zaś starali się jezuita uczniom wpajać głębokie przekonanie religijne.

Kolegium grudziądzkie kilkakrotnie trzeba było zamykać, czasem dla braku uczniów, lecz zwykle z powodu wojny. Najsilniej odbiła się na niem druga wojna szwedzka 1655 r. Elektor brandenburski obsadził wówczas Grudziądz jako przyjaciel Polski, aby go bronić przeciw szwedom. Lecz gdy szwedzi ukazali się pod miastem, wyprowadził swe wojsko, wpuszczając szweda, który cztery lata gospodarował w mieście.

Z wejściem szwedów rozpuścił rektor szkoły jezuickiej uczni i profesorów, oficerów szwedzkich zaś starał się zjednać sobie podarunkami. Pomimo to zrabowano szkołę i wypędzono jezuitów wraz zrektorem. Ani łózka, ani kawałka chleba szwed nie zostawił i wracający później jezuita musieli żyć z łaski miłosiernych ludzi. Kolegium otwarto na nowo dopiero w roku 1660.

Podczas wojny północnej za Augusta II, Sasa, zajęli znowu szwedzi Grudziądz. Jakiś jenerał szwedzki zebrał koło siebie proboszczów z miasta i okolicy jakby na sąd. Począł lżyć, że duchowieństwo nie sprzyja szwedom, lecz ich wrogom, szczególnie wywarł swą złość na jezuitach, bił ich po twarzy, targał za włosy, jednego kazał wziąć w areszt, dopóki kolegium nie wypłaci mu znacznej sumy. Później chciano gwałtem zamienić szkołę na szpital dla rannych, ale rektor ówczesny zdołał nakłonić szwedów, że urządzono lazaret wojskowy za murami miasta.

Podczas tej wojny sprowadził się komisarz

szwedzki z żoną i służbą do kolegium. Tu dokuczał jezuitom, szydził z nich, a jego ludzie wyjedli wszelkie zapasy żywności. Gdy odchodzili, zabrali nawet naczynia kuchenne.

Długo jeszcze cierpiało miasto, a mianowicie kolegium pod ciężarami wojny. Przechodziły tu wojska szwedzkie, polskie, saskie, konfederackie, nawet moskiewskie, a każde ścigało nieraz przemocą żołąd i żywność. Przynajmniej dziesiątą część wszystkich pieniędzy musiało dostarczać kolegium.

Podczas wojny trapiło też mieszkańców miasta kilkakrotnie morowe powietrze, które co prawda wygnało szwedów, ale również zabrało dużo ofiar z pomiędzy obywatelstwa. Gdy przestało grasować, urządzono dziękczynną procesję do cudownego obrazu św. Ksawerego w Jabłonowie. Przy pochodzie tym grali uczniowie wyższych klas kolegium na różnych instrumentach.

I poza czasem wojennym miało kolegium dużo kłopotu. Musiało się bowiem procesować z biskupami płockimi i z familjami szlacheckimi o dobra, należące do jezuitów. Podanie głosi, że gdy jakiś Dąbski nie chciał oddać jezuitom wsi Kłódki pod Grudziądem, zachorował nagle jego synek. Strapiiony ojciec pojednał się z jezuitami, błagając o ich modlitwy. Syn wyzdrowiał, a ojciec oddał jezuitom, co im się należało.

Po wojnach szwedzkich rozwijało się kolegium dość korzystnie. Okazywało swą żywotność często także na zewnątrz. Tak naprzykład grywano na zapusty teatr polski ku wielkiemu zadowoleniu publiczności.

Po roku 1772, po pierwszym rozbiórce Polski, Grudziądz przeszedł pod panowanie pruskie. Fryderyk II sprowadził 50 rodzin niemieckich i miasto zamienił w warownię. Wówczas mieszkało w kolegium grudziądzkiem 25 jezuitów. Pewną część z nich przeniesiono do Krakowa, reszta na razie mogła pracować spokojnie dalej. Lecz już w roku 1780 zniesiono ich zakon. Oświadczone jezuitom, że odtąd są świeckimi księżmi i że jako tacy dalej mogą pracować w swej szkole.

Ale w roku 1781 zamieniono kolegium na królewskie gimnazjum niemiecko-luterskie, gdzie oczywiście dla byłych jezuitów nie było miejsca. Później wybudowano dla gimnazjum nowy gmach, a w kolegium urządzono seminarjum nauczycielskie katolickie r. 1816. Dziś wybudowano nowe seminarjum i tylko w pojezuickim kościele św. Franciszka Ksawerego odprawia się do dziś dnia nabożeństwo dla seminarzystów.

W dawniejszym klasztorze zaś wraz z kolegium urządzono ratusz miasta Grudziądza, a w dawnym refektarzu jezuickim zasiadają dziś radni miasta.

Dobra kolegium zabrał fiskus i rozsprzedał. Jabłonowo n. p. nabyli Narzymscy, od roku 1873 własność księżnej z Narzymskich Ogińskiej.

ZALOTNIK MARCOWY.

(Z RODZINNEGO PODANIA).

I.

„Jakto wasze, panie Michale, w tym wieku chcesz się żenić? nie pomnicie, że kiedy stary z młodą się żeni, tedy jakoby w stary wóz szalone konie założył. Trudna zgoda, z ogniem woda! Młoda zawsze ma prawdę,—w niczem dla ciebie raju nie będzie;—boć szafranu nie przetrzesz, a baby nie przepiesz,—wtedy bieda temu domowi, gdzie krowa dobodzie wołowi,—bo zawsze tam wierci mak błądzi, gdzie donica rządzi. — Hm! wasze, panie Michale, patrzyta na mię złym okiem, by na tatarą w jasyrze;—wierzyta jedwabnym słówkom krasnej dziewczki, aleć to oddawna nie napróżno powiedziano: „Co ci powie białogłowa, pisz na bystrej wodzie słowa;“ świętej pamięci rodzic mi jeszcze mawiał: „Ani na wsi, ani w mieście nie trzeba wierzyć niewieście“. Na taką przecież perorę pana Melchiora stryjecznego brata, pan Michał, milczał uporczywie, pokręcając szpakowatego węża, co tem więcej mówcę jątrzyło i zapalało. „Pfu! na marę!“ zawołał pan Melchior, chodząc szerokim krokiem po komnacie, i podciągając w gniewie coraz pasa: „Milczysz jak zaklęty, boć poczuwasz się do złego! Tobie w tym wieku brać w dom dziewczkę, a przecież choć ma włosy długie, ale rozum krótki. Kto chce się żenić powinien mieć naturę twardą, a dobrze z początku żoneczkę karcić, aby znała, co pan w chałupie. Dobrze były czasy one, po których zostały przysłowia:

Orzech, stokfisz, niewiasta, jednym kształtem żyją,
Nic dobrego nie czynią, kiedy ich nie biją.

Kto pije, ten tyje, kto miłuje, bywa zdrów, kto bije żonę,
będzie zbawion.

Pan Michał, jakoby nie słyszał mowy brata, powstał z wolna i poszedł do jadalni, gdzie zwykle z przyjacielem domu, jak go zwano „rezydentem“, w tą porę grywał w tryszaka. Melchior splunął, pogłaskał w górę czuprynę, schował obie ręce za pas, co zawsze było oznaką gniewu, i poszedł w milczeniu za nim — a zastawszy brata z panem Jaksą, rezydentem, zajętych tryszakiem — pomruknąwszy na wpół głośno:

„Kto miłuje rzewnie,
To szaleje pewnie,
Kto się kocha powoli,
Tego głowa nie boli — “

usiadł w kącie jadalni, wysunął małą szachownicę i przywołał starego rotmistrza z chorągwi husarskiej, zawołanego gracza w szachy. Kiedy tak się grą zajęli, wpadł zadyszany pacholek, donosząc, że pani cześnikowa z panną i całą rodziną już jest przy granicznym kopcu.

Pan Michał, jak piorunem rażony na taką niespodziankę, co rychlej schował wielką papierową



F. SYPNIEWSKI.



JAN SOBIESKI I MARJA d'ARQUIN W WERSALU.

tabakierę, kazał podać sobie żupan świeżej mody; Jaksa pomagał mu w przebraniu. Pan Melchior cały stanął w czerwieni, jak kogut do boju, rozdrażniony przybyciem nagle niewiast, a co więcej go rozgniewało, że od nieskończonej partji szachów uciekł i stary rotmistrz, dla poprawienia ubioru i poczernienia sumiastych wąsów.

Cała służba pana Michała wystrojona, oczekiwała przed gankiem na przybycie wielmożnych gości. Jaksa ich porządkował, i jako mówił, ustawiał w ordynek. Rotmistrz z uczernionym wąsem i ogromnemi ostrogami, stał na czele aby podawać damom rękę; pan Michał na progu sieni, wzruszony nie mało, oczekiwał swojej przyszłej — a Melchior? ten nie wyszedł ani do sieni, ani na ganek, ale w złości poprawiał przed zwierciadłem pasa i przy pomocy śliny ustawiał na głowie czub szwedzki.

Na zegarze ściennym właśnie wykukala kukawka jedenastą godzinę w poraniu — gdy karetę wspaniała pani cześnikowej stanęła przed gankiem. Jaksa z rotmistrzem wysadzili naprzód panią cześnikową, potem pannę Ewelinę, jej córkę, a narzeczoną pana Michała, potem pannę Matyldę, starą ciotkę, — potem pannę Annę, starą pokojówkę, potem dwie służące, potem dwa szpice, potem opasłego i sapiącego mopsa murzyna, potem ciotki papugę w jednej klatce, a parę kanarków w drugiej, potem pudła, pudełka, pudełeczka, szkatuły, puzderka, worki i workiczki, co blisko godzinę zabrało całej służbie dworskiej, zanim je poznosili. Pan Michał ucałował rękę cześnikowej i narzeczonej, powiódł matkę naprzód, a Melchior udobruchawszy się nieco, ukazał się nagle w sieni i przeprowadził Ewelinę.

„Mój drogi stolniku!“ rzekła cześnikowa do pana Michała, „chcieliśmy ci zrobić miłą niespodziankę, otóż jesteśmy, by razem zjeść gąskę. „Miła mi Asindzki“ odrzekł pan Michał z ukłonem, „każda łaska, a z czemże radość porównać, gdy raczyłaś pamiętać, iż w dniu dzisiejszym jestem pozbawiony gospodyni, która tak sławnie wróżyć umie o ciekawej dla każdego rolnika zimie!“

II.

Godzina obiadowa nadeszła niedługo; na pierwszym miejscu posadzono panią cześnikową i Ewelinę, obok siedział pan Michał z jednej, a panna Matylda z drugiej strony, — przy niej Melchior, co raz weselszy miodem i akwawitą śniadanną, — dalej rotmistrz i Jaksa zamykali poczet.

Po wielu potrawach, w których staroświecki kucharz nie żałował szafranu i bakalij, — ukazała się gęś potężna, już rozebrana na części, wyjąwszy niekniętych piersi; te położono na talerzu przed panią cześnikową, która zręcznie mięso zjadłszy, zostawiła w przedce kość nagą. Wtedy, za danym znakiem przez pana domu, podał hajduk puchar kryształowy, kwartę obejmujący, który kolejną pierwszą wychylili wszyscy za zdrowie obecnych. Cześnikowa w

delikatne palce, pełne pierścieni, o które zbił sobie zęby rotmistrz całując je serdecznie, ujęła kość piersiową, i zbliżyła się wolnym krokiem do okna ogrodowego, obejrzała ją troskliwie, a ukazując przytomnym, taką wydała wróżbę blizkiej zimy.

„Widzicie, państwo, z początku te białe plamy — wśród więcej ciemnych, to znaczy, iż po troszku będzie śniegu, ale więcej deszczu — taka niepewna zima będzie do połowy, bo do połowy kości wszędy są plamy czarne — ale zato druga połowa zimy będzie mroźna i śnieżna, bo spojrzycie, państwo, reszta piersi bez plamki!“ — „Taką rzeczą, Mościwa Pani Wielmożna Cześnikowa,“ zawołał podochocony Melchior, z pucharem w rękę, „będziesz z nas miała częstych gości kulikiem po dobrym śniegu.“ „Owóż!“ rzekł pan Michał, „pierwsza wróżba Asindzki, ziszcz się, teraz śnieg pruszyć zaczyna.“ „A ho!“ wyrzekli razem rotmistrz i Jaksa, „święty Marcin jedzie do nas na białym koniu.“ — „Święty Marcin po lodzie, Boże narodzenie po wodzie! taka u nas dawna przypowieść — i niewiem, czy na gody zadzwonił sankami u Wielmożnej Cześnikowej;“ to mówiąc skłonił się nisko pan Melchior. — „Choćby i na kołach bosych,“ odrzekła, „miłe mi Waszmość Panów odwiedziny zawsze, — proszę niezapomnieć o tem, bo pod sianem na wigilję możecie znaleźć wróżbę szczęśliwą dla siebie.“ (d. c. n.).



Kronika polityczna.

W obecnym gabinecie francuskim, na którego czele stoi senator Doumerque, zasiada jako minister finansów Caillaux, który poprzednio dzierżył już nawet urząd prezesa ministrów, a ubiegał się o godność prezydenta rzeczypospolitej! Do osiągnięcia ambitnych swych celów Caillaux nie dążył zawsze drogą prostą, przeciwnie w wyborze swych środków bardzo mało był skrupulatnym. O jego sposobach walki politycznej i spekulacjach finansowych mówiono głośno w Paryżu, lecz najgroźniejszą broń miał w rękę redaktor „Figara“ Calmette, który sam nie wiele lepszy intrygant, rozpoczął przeciwko ministrowi kampanję na łamach swego pisma, grożąc ogłoszeniem coraz bardziej kompromitujących dokumentów. Głównie chodziło o wykrycie szacherek milionowych, któremi wzbogacił się Caillaux za czasów swego urzędowania. Aż pewnego pięknego poranku żona ministra wybrała się do gmachu „Figara“ z rewolwerem i zraniła redaktora pięcioma wystrzałami tak niebezpiecznie, że umarł podczas operacji. Ministrową uwięziono, a mąż jej zażądał zwolnienia z urzędu. Przestępczyni otrzyma zapewne karę więzienną, a mąż jej dymisję. Tyle co do osobistego wyrównania zamachu.

Wypadek ten rzuca wszakże jaskrawe światło

na ogólne stosunki w Francji. Największą tam potęgą jest kapitał, używany i gromadzony bez żadnych skrupułów. Są ministrowie, którzy tylko dla tego ubiegają się o swój wysoce odpowiedzialny urząd, by konszachtami na giełdzie i niedozwolonemi spekulacjami bankowemi zebrać jaknajwiększy majątek, który znów służy im do sięgania po wyższe i wpływowe stanowiska. Caillaux przyczynił się do obalenia poprzedniego gabinetu jedynie w tym celu, aby dojść do władzy i zebrać miliony. Działał zaś pod płaszczykiem obrońcy kraju przed podatkami i obrotami finansowymi, które sam jako minister teraz najgoręcej popierał. Wynika z tego, że rządy francuskie bynajmniej nie są zabezpieczone przed spekulacją i wyzyskiem jednostek, które tak długo tylko głoszą zasady ogólnego dobra, dopóki nie staną na czele władzy.

Po długich stuleciach niewoli politycznej ma Irlandja otrzymać wreszcie dość korzystny samorząd. Ogół mieszkańców kraju projekt rządu angielskiego przyjął z wielką radością. Lecz gdy Irlandja katolicka, wynędzniała skutkiem ucisku wiekowego, wreszcie może pomyśleć o odrodzeniu, część kraju, zwana Ulsterem, a zamieszkała przez szkotów protestanckich, z głośnym wystąpiła protestem. Anglja skutkiem tego znajduje się w ogromnym naprężeniu. Jest to najpoważniejszy zatarg wewnętrzny od czasu walk Stuartów, zwłaszcza że przeciwnicy równoprawnienia irlandczyków chcą gwałtem przeszkodzić reformom rządu. Przeciwko władzy państwowej zbroi się milicja krajowa w Ulsterze i starcie regularnej armji królewskiej z rokoszanami szkockimi bynajmniej nie jest wykluczone. Znamiennym objawem jest wyłamywanie się oficerów w załogach irlandzkich z pod rygoru wojskowego. Nie chcąc walczyć z milicją podają się do dymisji, tak że celem uśmierzenia tłumów i groźnego ruchu nieposłuszeństwa rząd po licznych naradach z królem wysłał feldmarszałka Frencha. Powstańcy ulsterscy obliczają swoje siły na 30 tysięcy głów, lecz uzbrojenie ich jest niedostateczne. Brak im przede wszystkim armat, podczas gdy garnizon irlandzki, dobrze zaopatrzony w wszelkie rodzaje broni, każdej chwili gotów jest wyruszyć w pole. Niespodzianie przyszła na państwo brytańskie bardzo poważna chwila; rząd dla zachowania swej powagi nie może ustąpić przed częścią ludności, zwłaszcza że ta domaga się ograniczeń i krzywdy najbliższych sąsiadów, a dla siebie wyłączenia z pod autonomji irlandzkiej.

Następcą zmarłego generała gubernatora Królestwa Polskiego Skałona mianowany został naczelnik głównego sztabu w Petersburgu, generał Jakób Żyliński. Jest on wybitną osobą wojskową, z czego wynika, że rząd rosyjski przypisuje wielką wagę do pogotowia wojennego Królestwa Polskiego, zwłaszcza teraz, gdy stosunki z sąsiednimi Niemcami są podobno bardzo naprężone. O jenerale Żylińskim wiadomo, że ma być człowiekiem sprawiedliwym,

stanowczym i spokojnym. Stosunki Królestwa są mu obce; zapoznać się z nimi pragnie dokładnie po przybyciu do Warszawy w miesiącu maju.

Jenerał Jakób Żyliński, syn Grzegorza, urodził się dnia 15(27) marca 1853 roku. Wykształcenie otrzymał w Mikołajowskiej szkole jazdy i akademji sztabu jeneralnego. Służbę wojskową rozpoczął w roku 1873, w pułku huzarów sumskich, z którego w roku 1885 przeszedł do sztabu dywizji grenadierów w Moskwie, a w roku 1887 do komitetu naukowego sztabu głównego w Petersburgu. Piastował tam urząd referenta, badał siły wojskowe państw sąsiednich i opracował szereg memorjałów o możliwych przeciwnikach Rosji. Prace te sprawiły, że był delegowany jako agent wojskowy Rosji na Kubę, podczas wojny hiszpańsko-amerykańskiej, a następnie na konferencję pokojową w Hadze.

W roku 1903 generał Żyliński został drugim kwatermistrem jeneralnym sztabu głównego, a w roku następnym — naczelnikiem sztabu polnego namiestnika na dalekim wschodzie. Stanowisko to opuścił w styczniu 1905 roku i czas jakiś był zaliczony do ministerjum wojny, poczem w roku 1906 objął dowództwo XIV dywizji jazdy, a po roku — X korpusu jazdy.

W roku 1910 otrzymał stopień generała jazdy, a w roku następnym — urząd naczelnika głównego zarządu sztabu jeneralnego. Na tem stanowisku uczestniczył w zreformowaniu armji rosyjskiej i zjednał sobie opinię energicznego administratora, przeciwnika pisaniny kancelaryjnej i protekcji zakulisowych.

Dzieje wojskowości rosyjskiej zapisały dwu generałów tegoż nazwiska: Józefa, naczelnika wydziału pomiarów, osuszyciela Polesia, i Stanisława, naczelnika wydziału topografów w Turkiestanie, ale obadwaj należeli do innej rodziny.

Z blizka i daleka.

Manifestacja studentów w Warszawie. Z powodu głośnych prześlowań Polaków pod zaborem pruskim, a zwłaszcza ostatnich zajęć w Berlinie w kościele św. Pawła, studenci warszawscy, wyłącznie Polacy, urządzili dnia 19 b. m. wieczorem demonstrację przeciwko konsulatowi niemieckiemu przy ul. Jasnej. Zebrani w liczbie kilkudziesięciu rzucali w okna konsulatu i do mieszkania przedstawiciela Niemiec cegłami, kamieniami i butelkami z atramentem, wydając przytem wrogie okrzyki. Aresztowano 64 akademików i powiadomiono po spisaniu protokołu naczelną władzę.

Manifestacje tego rodzaju nie przyniosą najmniejszej korzyści rodakom w zaborze pruskim, a wyrządzą szkodę studentom polskim. Współczucie

dla dzieci polskich w Berlinie można było dać wyraz w inny sposób.

Walne zebranie roczne **Stowarzyszenia Nauczycielstwa Polskiego** odbyło się w Warszawie. W stolicy liczy organizacja 509 członków; w pięciu oddziałach prowincjonalnych: Piotrkowie, Częstochowie, Kielcach, Włocławku i Żyrardowie 226, czyli w całym Królestwie Polskiem liczy związek 735 nauczycieli i nauczycielek — na ogół 3,000.

W łonie Stowarzyszenia było w roku ubiegłym czynnych 8 sekcji: wychowawcza, języka polskiego, przyrodnicza, matematyczno-fizyczna, języków starożytnych, historyczna, wychowania fizycznego i samokształcenia. Biblioteka Stowarzyszenia liczy około 3 tys. dzieł i 84 czasopism. Staraniem związku wychodzi miesięcznik pedagogiczny: „Wychowanie w domu i szkole“, oprócz tego wydano w roku zeszyt „Dydaktykę ogólną“, a w druku znajduje się „Metodyka języka polskiego“ i „Gramatyka języka polskiego“. Chór mieszany i komisja życia towarzyskiego starały się o dostarczenie stowarzyszonym przyjemnych rozrywek.

Powrót na łono kościoła katolickiego. Były duchowny marjawicki, ks. Edward Marko, złożył w ręce ks. arcybiskupa Kakowskiego wyznanie wiary i został zaliczony do duchowieństwa katolickiego archidiecezji warszawskiej.

Dla dobra publicznego. *Lubelskie Tow. rolnicze* otrzymało w darze od p. Erazma Plewińskiego jego dobra Felin w gub. lubelskiej w celu urządzenia w nich szkoły rolniczej lub kursów rolniczych. Niezależnie od tego p. Plewiński ofiarował rb. 10,000 w gotowiznie na urządzenie tej szkoły. O zatwierdzenie tej darowizny lubelskie Tow. rolnicze wystąpiło do władzy.

Przemysłowcy górniczy z Królestwa Polskiego zebrali między sobą 25,000 rb. i ofiarowali je na rzecz stypendjów dla polaków, wyznania rzymskokatolickiego, kształcących się w szkołach średnich i wyższych górniczych i technicznych. Z stypendjów, według woli ofiarodawców, będą mogli korzystać przeważnie synowie robotników i pracowników w kopalniach prywatnych i zakładach górniczych w Królestwie Polskiem. O uzyskanie sankcji prawnej dla daru stypendjalnego poczyniono już u władz starania.

Zgromadzenie kupców Warszawy otrzymało od władz pozwolenie na przyjęcie darowizny do dyrektora Banku handlowego w Warszawie, p. Wojciecha Sawickiego, w sumie rb. 10,000. Suma ta utworzy kapitał wieczysty, od którego procenty będą wypłacane jako stypendjum dla uczniów, kończących szkoły handlowe Zgromadzenia kupców Warszawy, w celu dalszego kształcenia się za granicą.

Moralność a moda. Po tangu, zakazywanym przez władze, po sukniach „spętanych“, będących przedmiotem przepisów władzy wojskowej, przysłała kolej i na — modne dziś wycięcia spodnie. Zarząd mu-

nicypalny m. Middleboro, w stanie Massachusetts, Ameryki północnej, rozlepił zarządzenie, ograniczające do 37 centymetrów wycięcie u spódnicy mieszkanek sławnego grodu. Te wycięcia i rozporki w granicach ustanowionej miary zabezpieczają jako tako moralność niewiast i ich mężów; poza tą miarę wyjść im nie wolno, bo od 38-go centymetra rozpoczyna się — zepsucie. Do przestrzegania przepisu powołani są policjanci, z których każdy ma być zaopatrzony w miarę metryczną...

Danzon i furlana. Są to nazwy dwu nowych tańców, które mają wyrugować szkodliwy dla moralności tango. Pierwszy, wynaleziony przez jednego z nauczycieli tańca w Rzymie, zyskał aprobatę władz miejscowych, które pozwoliły „wynalazcy“ ogłaszać o lekcjach tego tańca i prowadzić rozgłosne dziś „thé danzon“. Ma to być poprawiony tango w sensie przyzwoitym. „Furlana“ zaś jest tańcem włóścian weneckich, bardzo malowniczym, układnym, wesołym, a — przyzwoitym. Wenecja jest obecnie w modzie w Rzymie i dlatego arystokracja rzymska projekt wprowadzenia tego tańca do salonów gorąco popiera.

Przeciw tańcowi „tango“. Z Budapesztu donoszą, że do szeregu dostojników kościelnych, którzy zabronili tańczyć „tango“, przybyli: książę prymas Węgier dr. Jan Czernoch i biskup hr. Zichy. Książę prymas nie potępił jednak tego tańca na zasadzie głosu opinii publicznej, lecz postanowił ocenić go osobiście, więc po obiedzie u Filipa bar. Drosdi wyraził życzenie, aby ktoś z obecnych zatańczył „tango“. Pani domu zasiadła do fortepianu, smukły zaś huzar z żoną swoją wykonał ów taniec z niezwykłą elegancją i dyskrecją. Gdy skończyli, książę prymas rzekł: „Tango odtąnczone przez pana rotmistrza i pańską małżonkę, jest ładne i zachęcające. Nikt nie może wyrażać się niekorzystnie o tym tańcu, gdy tak jest wykonany, jak to państwo uczyniliście przed chwilą. Szczególnie małżeństwa mogą tańczyć go zawsze. Lecz czy tango zawsze jest tak wykonywane?“ Nazajutrz książę prymas ogłosił list pasterski, w którym wzywa rodziców, aby chronili swoje dzieci od tego tańca, obrażającego dobre obyczaje.

Zielone włosy są obecnie ostatnim wyrazem mody paryskiej. Gdy tak modnie przystrojona dama ukazała się w teatrze, publiczność nie oswojona jeszcze z tak doniosłym przewrotem, zaczęła robić głośne uwagi, a następnie obrzucać nowatorkę owocami i jarzynami. Dama oświadczyła mocnym głosem, że osoby nieuznające jej włosów uważa za bandę głupców i opuściła dumnie teatr.

Ubiory monarchów. Król Jerzy angielski sprawia rocznie 25 garniturów, które kosztują ogółem około 2 tys. rubli, i tyleż ubrań sportowych, na które wystarcza 1600 rb. Za palto zimowe płaci król angielski 100 rb., oczywiście bez futra; za letnie — 80. Cena jednobarwnych krawatów jedwabnych, przez

króla używanych, wynosi od 8 do 16 rb. za sztukę. Ten sam garnitur Jerzy angielski kładzie na siebie najwyżej 20 razy. Ubrań osobiście nie przymierza; są one pasowane na manekinie, zbudowanym według jego figury. Cesarz Wilhelm na swoje ubrania cywilne wydaje sumę minimalną, drogo natomiast

królowa nie lubi tych kamizelek pretensjonalnych i często się zdarza, iż Alfons, dumny z swej kamizelki, musi ją odrzucić po użyciu jednorazowym. Poważną pozycję zajmują w budżecie kapelusze, szczególnie cylindry, które król płaci po 80 rubli, prawdopodobnie drożej ponad ich wartość. Podwiązki



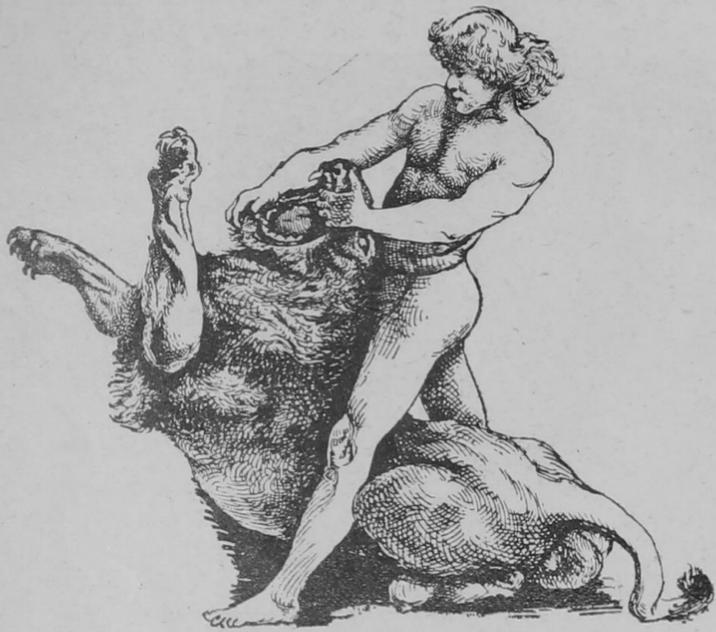
L a w i n a w K a r p a t a c h.

kosztują garnitury myśliwskie oraz jachtowe. Ma on zwyczaj zamawiać od razu dwa tuziny ubrań. Największym elegantem pośród monarchów jest Alfons XIII-ty, mający słabość do kamizelek fantazyjnych, przetykanych złotem i srebrem. Cena kamizelki wynosi zazwyczaj 160 rb., niekiedy zaś i więcej. Ale

królewskie muszą mieć sprzączki platynowe, wskutek czego Alfons płaci około 400 rb. za parę, używa zaś — trzy pary rocznie.

Wszyscy powyżsi monarchowie odzież odrzuconą każą sprzedawać, pieniądze zaś, tą drogą osiągnięte, są rozdane ubogim.

Wyznania. Chrześcijan jest na kuli ziemskiej 467,000,000, w tej liczbie 248,000,000 katolików, 123,000,000 protestantów, 83,000,000 prawosławnych, 9,000,000 różnych sekt. Mahometan 177,000,000, żydów 10,000,000, buddystów 503,000,000, braminów 140,000,000, pogan 208,000,000.



ZE SCENY.

Teatr Rozmaitości: „ROZSTAJE“
Stefana Krzywoszewskiego.

Obraz z stosunków politycznych i towarzyskich z najświeższej przeszłości Warszawy. Intryga radykałów przeciwko nieobecnemu przeciwnikowi. Wygodny sposób moralnego ubicia człowieka, któremu zarzuca się sprzeniewierzenie grosza publicznego. A narzędziem klikii partyjnej będzie młody zapaleńiec, któremu chodzi o czystość sztandaru narodowego, o odrodzenie społeczeństwa pod znakiem nowego pokolenia. Następuje starcie dwu światów: tych, którzy żyją tradycją dawnych ideałów, kochają przeszłość i pracę teraźniejszości nawiązują do rzeczywistych wartości, do miłości kraju i etyki chrześcijańskiej, i tych, którzy chcą zburzyć dawne podstawy bytu narodowego, aby na nich wznieść z doktryn i teorii zbudowany ideał. Przytem zginąć musi każdy, kto nie jest zaprzysiężonym członkiem partji. Bo tylko ona ma monopol patriotyzmu i rządu w narodzie. Znane dzieje, na które patrzymy z bólem, smutne czasy, które zniszczyły dużo, a w zamian dały waśnie, ruiny i pustkę.

Ten proces, którego echa jeszcze dzisiaj rozgrywają się w narodzie polskim, ujął w ciasne ramy sztuki scenicznej Krzywoszewski. Ograniczony formą i miejscem, mógł dać tylko epizod. Lecz za to nakreślił go w żywych, jędrnych barwach, z subtelnością psychologa, który czytać umie w mózgach i sercach „starych i młodych“. A przytem poruszył jeszcze jeden problem. Obowiązku i prawa jednostki do szczęścia. Ten sam wyznawiec nowych haseł, który pisze artykuł o złodziejach grosza publicznego, chodzi po rozstajach w domu własnym, gdzie obok ubóstwiającej go, choć umysłowo nierównej mu żony, żyje tradycja dawnych ideałów wierności małżeńskiej, dawnej świętości ogniska domowego. A jego ciągnie córka bogatego kapitalisty, panna nowoczesna, egoistka, która zna życie i chce je so-

bie uprzyjemnić kosztem innych. Żąda ofiar, niezdolna do wyrzeczenia się najmniejszej zachcianki. Niech giną inni, skoro stają na drodze do — mego osobistego szczęścia! Zdanie to słyszymy coraz częściej, a pono powtarza je z temperamentem nieokiełznanym — Warszawa.

Autor wzywa nas na sąd dwu przeciwieństw, polityczno społecznych i obyczajowo osobistych. Sąd kończy się porażką zaciekłości partyjnej oraz samolubstwa indywidualnego. Bohater odnosi podwójne zwycięstwo nad sobą; daje świadectwo prawdzie wbrew swemu wyznaniu politycznemu i zrywa z partją, która chce zguby człowieka dla jego przekonania; równocześnie bierze górę poczucie obowiązku nad mirażem wyzwolonej miłości. Przed dźwiękami starej piosenki polskiej ustępują zgrzyty nienawiści i sybarytyzmu.

Sztuka napisana zwięźle, z przebłyskami humoru, o głębokim podkładzie społecznym, trzyma widza na uwieży i zajmuje żywo przez cały ciąg akcji. Uznany talent dramatyczny Krzywoszewskiego objawia się tutaj w skryzalizowanej, mocnej formie. Przed naszymi oczyma przesuwają się szeregi doskonale narysowanych odrębnych ludzi, charakterów, nie typów tylko, i składa w całość o barwach silnych, nigdzie nie przejawionych. To są ludzie z krwi i kości, bliscy nam w swych błędach, porywach i uczuciach. W odruchach i wypadkach życia codziennego stoi nad nimi niedostrzegalny ideał służby publicznej i czystości obyczajów. Ci, którzy zrozumieli swe zadanie życiowe, opuścili rozstaje, by iść drogą wytkniętą przez prawdę i obowiązek. Krzywoszewski stworzył dzieło piękne i zajmujące.

Sztukę odczuły i zagrały pierwszorzędnymi siłami teatru Rozmaitości z podziwienia godną sprawnością. Wspaniałym był Frenkiel jako kapitalista Krabe; żywe echa tradycji i szlachetnego giestu umiał włożyć w grę swą Solski; szeregi postaci męskich doskonale wypełniali: Brydzyński, Śliwicki, Wostrowski, Wilczyński, Knake-Zawadzki, Janusz, Kawalski, i uczeń szkoły aplikacyjnej Filleborn. Równocześnie dały piękne kreacje panie: Brodzisz, Szyllinżanka, Ordon-Sosnowska, Lubicz-Sarnowska i Ruszczycówna. Reżyserja w uznanych rękach Śliwickiego działała bez zarzutu; dekoracje, zwłaszcza staroświeckiego salonu polskiego z ks. Józefem na ścianie, godne były całości sztuki.

Sztukę i jej* autora spotkała w Warszawie krytyka. Krytyka nie oddała jej należytego uznania. Fakt, że przypadkowo autor jest redaktorem pisma, w którym podpisany imieniem i nazwiskiem inny autor wylał żółć swą na recenzentów swych dramatów, nie powinien być wystrzyżymać krytyków od wypowiedzenia sprawiedliwego sądu o dramacie i jego twórcy. Z redaktorem można było rozprawić się na innym miejscu. Nie darmo przecież noszą krytycy ostre pióra. A że sztuka jest dobrą i godną widzenia, to wypowiedziała — nieuprzedzona publiczność, intryga nie odniosła więc zamierzonego skutku.

Teatr Polski: „PIGMALJON“,
komedia B. Shaw'a.

Każdy utwór głośnego dramaturga angielskiego słusznym budzi zainteresowanie publiczności. Bo Shaw to ostatni wyraz najsubtelniejszej satyry, najciekawszy pisarz sceniczny w dziedzinie lekkiej komedji i najzabawniejszy nowinkarz na deskach muzy. Nie ma rzeczy tak poważnej na świecie, której-

by nie wyśmiał i nie przewrócił do góry nogami, a przytem umie robić tak zabawną, na wpół poważną, na wpół kpiącą minę, że w groteskowych skokach jego fantazji trudno połączyć się widzowi: nigdy nie wie, gdzie zaczyna się rzecz poważna, a gdzie kończy się farsa.

Nazywając działalność Shaw'a trochę po naszymu, powiedzić moglibyśmy o nim, że w dowcipny i nie dokuczliwy sposób „bierze nas na kawał“, a tak umie przytem skakać, że trudno uchwycić pojedyncze ruchy i odcienia jego pomysłów.

Mitologia powiada nam o Pigmaljonie, że był to genialny rzeźbiarz, który zakochał się w swoim dziele, cudnej figurze z kości słoniowej. Na pocięchę artysty zamieniła Afrodyta utwór jego w żywą kobietę, z złościwości tylko czy zapomnienia nie dała jej po ludzku bijącego serca, z czego wynikły potem różne nieprzyjemne sprawy.

Shaw'a Pigmaljonem jest Higgins, profesor fonetyki i językoznawstwa, który chodzi po świecie i wsłuchuje się w dźwięki mowy ludzkiej, a w końcu ma tak delikatny słuch, że poznaje po głosie, gdzie się ktoś urodził, uczył, jaki ma zawód i t. p. Ta dziwna pasja przynosi profesorowi niezłe zarobki, bo za poprawny i salonowy sposób mówienia po angielsku płacą mu dobrze różni plebejusze, dorobkiewiczze i obdarzeni fatalnym akcentem amerykanie. Higgins swoje studia językowe odbywa po ulicach i zaułkach Londynu i przy tej sposobności spotyka kwiaciarkę, mówiącą najgorszym sposobem najciemniejszych nor ludzkich.

Eliza Doolittle jest brudnym, ordynarnym i głupim stworzeniem; profesor Higgins zakłada się z pułkownikiem Pickeringiem, że w trzy miesiące zrobi z niej osobę możliwą w rodzinie mieszczańskiej, a za dalsze trzy miesiące zaprowadzi ją na bal do ambasadora, gdzie olśni wszystkich swą wymową i gościem. Higgins, a z nim autor komedji twierdzi, że wystarczy dobrze wysłowić się, a wtedy wszystkie inne przymioty, wykształcenie, charakter, uczucie—znajdą się same przez się. Za pomocą języka nabywa się kulturę.

Gotowiśmy mu uwierzyć, lecz że uśmiecha się przytem złośliwie, sprawa budzi w nas słuszne podejrzenie. W każdym razie eksperyment się udaje. Poczwarzka zamieniła się w złotego motyla i olśniła towarzystwo angielskie; profesor i jego metoda święcą tryumfy. Co teraz? Eliza wróci naturalnie do domu Higginsa i będzie przynosić mu nadal pantofle oraz spełniać rozmaite posługi. Tak rozumuje profesor, ale inaczej myśli panna Doolittle. Rzuca Higginsowi w twarz pantofle i ucieka. Gotowa z tego wyniknąć tragedia, ale Shaw tego nie lubi. Jego Pigmaljon wzorem antyki zakochuje się—na swój sposób — w swym tworze i cała sprawa skończy się małżeństwem profesora z córką śmieciarza. Bo dla wypełnienia galerji ciekawych okazów pokazuje się nam i ojciec nadobnej Elizy, raz jako filozof ściekowy, człowiek stojący poniżej wszelkiej kultury i etyki, a po raz drugi jako spadkobierca bajkowego dziwaka, noszący już ciężar „moralności średniej klasy“. Teraz wyszły szydła z worka. Shaw ogromnie nie lubi przeciętnej etyki burżujów i do woli bawi się ich kosztem. Więc był śmieciarz, a przy końcu komedji rentjer, idący pod jarzmo małżeństwa, do woli prześmiewa i parodjuje współczesną przeciętną etykę, więc matka profesora dąży z Elizą i pułkownikiem na obrzęd kościelny, aby ulżyć swą obecnością ojcu Doolittle w spełnieniu ciężkiego obowiązku itd. itd.

Morału nie szukajmy; bawmy się i śmiejmy, i cieszymy się, o ile nie zanadto ubawił się naszym kosztem sam autor.

Sztukę zagrano doskonale w stylu i tonie. Tryumf prawdziwy święciła umiejętną swą grą Przybyłko Potocka, wprost niezrównana w rozmaitych fazach przekształcenia się z poczwarki w motyla. Świetnym jej partnerem był Zelwerowicz, kładący w całość w swej roli szczery humor i oryginalność bohatera sztuki. Chciałbym w nim widzieć tylko więcej umiarkowania w ruchach. Typ rezonera i filozofa brukowego zagrał przepysznym Maksymiljan Węgrzyn, rozumując równie zabawnie jako śmieciarz, zbogacony kapitalista i profesor etyki. Dystygowaną matką Higgins była Słubicka, a purytańską w każdym calu gospodynią syna, Kryszińska. Sztywnego pułkownika grał Wiślański, a wszystkie pomniejsze role w odpowiednich znajdowały się rękach. Sztukę wyreżyserował z prawdziwym znanstwem tematu i środowiska dyrektor Szyfman. Dekoracje tworzyły harmonijne tło sztuki, granej dotąd przy pełnej widowni.

Tadeusz Jaworski.

✱

Dnia 18 b. m. pożegnał się z sceną warszawską najpočetnějszy z współczesnych artystów polskich, **Bolesław Leszczyński**. Blisko lat 50 pracował dla sztuki rodzimej, a te postacie, które utworzył w 3,000 dramatach w teatrze naszym, pamięć jego wielkiego talentu i genjuszu utrwały po wieczne czasy. Na pożegnanie zagrał Leszczyński Ruszczyca w „Złotem runie“ Przybyszewskiego, jedną z ról, która przy końcu ubiegłego wieku przejmowała do głębi widownię. Nie była to jednakże ta potężna, spżżowa postać, jakich szereg majestatyicznych wyczarował wielki artysta. Na pożegnanie zgotowała mu publiczność serdeczną, pełną czci i uwielbienia owację.

Z ruchu uprzemysłowienia kraju.

Dom handlowy „F. JĘDRZEJOWSKI i S-ka“, w Warszawie, Długa 21, służyć może za przykład, ile przy dobrej woli, znajomości zawodowej i zabiegliwości zdziałać można w zakresie przemysłu i kupiectwa polskiego. Założony w niewielkich rozmiarach i średnim kapitałem skład hurtowny towarów łokciowych, galanteryjnych i norymberskich mieścił się przy otwarciu interesu w dniu 1 lutego r. 1913 w dwu pokojach i zatrudniał jednego współpracownika. Dzisiaj, 14 miesięcy później, zajmuje 18 lokali i zatrudnia 35 osób i niebawem znów znacznie będzie powiększony. Rzetelność i obrotność firmy najlepiej stwierdza fakt, że dzisiaj dostarcza towarów 500 spółkom i firmom prywatnym w Królestwie, na Litwie i Rusi, te zaś zasilane przez hurtownię warszawską doskonałym cieszą się rozwojem. Bardzo pocieszającym dla uprzemysłowienia kraju jest objawem, że włościanie, zakładający u siebie spółki, zwracają się do firmy warszawskiej po wskazówki i wstępują do niej na praktykę, aby później stać się współpracownikami spółek prowincjonalnych. To też liczba odbiorców i kooperatyw, nawiązujących stosunki z domem handlowym F. Jędrzejowski i S-ka, wzrasta stale i łączy się z nim ku obopólnej korzyści. Firma dostarcza hurtownie: towary łokciowe, bławaty, firanki i kołdry, norymberszczyznę, galanterję i sukna z fabryki krajowej R. Skirmunt w Porzeczu.

Konkurs na chór męski (a capela).

Podpisany Wydział ogłasza niniejszem konkurs na utwór, mający być odśpiewanym podczas tegorocznego Zjazdu w Poznaniu. Warunki:

Utwór powinien być oryginalny, dotąd nie drukowany i nie nagradzany, ani też nigdzie dotąd nie wykonany, obejmujący 40—60 taktów, średnio trudny, dowolny rytm i tempo, tekst o wartości literackiej, nie polityczny.

Nagroda wynosi: pierwsza 100 mk., druga 75 mk., trzecia 50 mk.

Nagrodzone utwory stają się własnością Związku; oprócz tego zastrzega sobie Wydział prawo nabycia dalszych utworów uznanych przez komisję za odpowiednie do druku, płacąc za utwór 25 marek.

Utwory konkursowe podpisać należy pseudonimem i tym samym pseudonimem zaopatrzyć należy zamkniętą kopertę, zawierającą adres i nazwisko autora.

Skład jury konkursowej będzie osobno ogłoszonym.

Termin nadsyłania prac 20 maja b. r. Adresować należy: K. T. Barwicki, Poznań, Półwiejska 75.

Do powyższego konkursu zaprasza

Wydział Związku Kół śpiewaczych w Poznaniu.

Z piśmiennictwa.

Stanisław Ostrowski. Rok klęski. Powieść z czasów Ks. Warszawskiego. Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa.

„Rok klęski“, o którym mówi Stanisław Ostrowski, utalentowany autor licznych dzieł z czasów napoleońskich, jest to r. 1813. Krwawe, znaczone bohaterstwem i poświęceniem epizody tej kampanji, odtworzył autor w barwnych i plastycznych obrazach, związanych z postacią bohatera powieści, dzielnego ułana, Marka Żymirskiego. Kulminacyjnym punktem powieści jest bitwa lipska. Odtworzył ją autor z prawdziwym talentem; bohaterki zgon księcia Józefa i nieśmiertelne jego przykazanie dochowania honoru narodowego, odzywające się w przełomowym momencie w duszy Marka — zamykają treść powieści Ostrowskiego.

Artur Gruszecki. Pod Czerwonym Wirchem. Powieść współczesna. Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa.

Wątek najnowszej powieści Artura Gruszeckiego rozwija się na tle Tatr „pod Czerwonym Wirchem“. Autor odtwarza dzieje przygodnych mieszkańców Zakopanego, skreślone z werwą i talentem pisarskim.

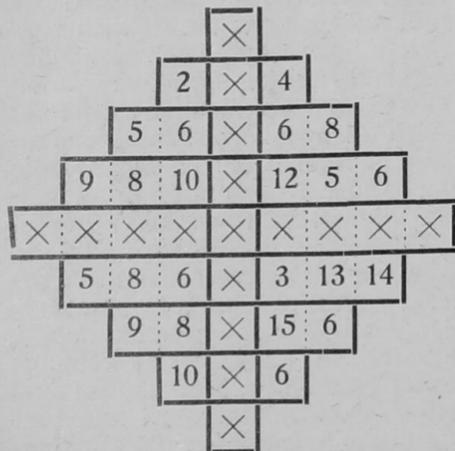
NEKROLOGJA.

Ś. p. Felicja z Koszutkich Wierzbńska, wdowa po pośle i współredaktorze „Dziennika Pozn.“ śp. Władysławie, i matka znanego powieściopisarza Macieja Wierzbńskiego, umarła po długiej i ciężkiej chorobie w Poznaniu. Synowi, znanemu w Warszawie literatowi i publicyście, ciężko dotkniętemu boleśnym tym ciosem, zasyłamy wyrazy szczerego współczucia.

Zadanie literowe.

Podał Edward Szwarc.

Litery zamiast krzyżyków i cyfr utworzą 9 wyrazów; litery środkowe w kierunku pionowym i poziomym utworzą imię i nazwisko dawno zmarłego rzeźbiarza polskiego.



- 1) litera,
- 2) zwierzę,
- 3) choroba,
- 4) biżuterja,
- 5) wyraz zadany,
- 6) rzemieślnik,
- 7) narzędzie rolnicze,
- 8) owad,
- 9) litera.

Znaczenie szarady z nr. 10 „Ziarna“

S A R A G O S A

nadesłali jeszcze: I. Kwieciński z Pietuchowa, Anna Jażykowska z Chołoniowa, T. Sobolewski z Szymanowic, Sz. Górczyński z Wólki Kon., Z. Żukowska z Wiślina.

Rozwiązania podawać będziemy odtąd co TRZY numery, aby umożliwić Czytelnikom naszym z dalszych stron współudział w losowaniu nagród.

PRZEDPŁATA na tygodnik „ZIARNO“ wraz z wszystkimi 53 dodatkami wynosi: w Warszawie rocznie rubli 6, półrocznie rb. 3.00, kwartalnie rb. 1.50, z przesyłką pocztową rocznie rb. 7, półrocznie rb. 3.50; kwartalnie rb. 1.75, zagranicą rocznie koron 20, albo marek 17, półr. k. 10, albo m. 8½, kwart. k. 5 albo m. 4.25 albo 1 dolar.

Adres Redakcji i Administracji „Ziarna“ w Warszawie: Tamka 46, telefon Redakcji 402-44.

Redaktor i wydawca: L. Marjan Wolff.

Kierownik literacki: dr. fil. Tadeusz Jaworski, przyjmuje codz. od 6—7 ppł.

Papier: Krajowej Spółki Papierniczej.

Druk E. Szyllera, Tamka № 46.

Królowie polscy,

Obraz rysunku J. Matejki, kolorowany przez M. Gerson-Dąbrowską, wykonany litograficznie w 18 kolorach, wyszedł w nowym nakładzie księgarni Jana Fiszera. Portety 40 królów polskich ułożone są na tle godeł narodowych i herbów Polski, Litwy i Rusi. Rozmiary dużego kartonu 74×100 cm. Piękna i barwna litografia oraz przedewszystkiem wzniosły temat i praca najslawniejszego malarza polskiego zalecają wspinać to wydawnictwo. Obraz, stanowiący prawdziwą i cenną pamiątkę narodową, winien znajdować się w każdym domu polskim.

Dzięki pomyślnemu układowi z firmą księgarską Jana Fiszera możemy Czytelnikom „Ziarna“ ustąpić obraz ten po cenach zniżonych i to na grubym papierze kartonowym po 2 rb. (zamiast 3 rb.); a podklejony płótnem na wałkach po 3,50 rb. (zamiast 5 rb.). Koszty przesyłki pierwszego obrazu wynoszą 50 kop., drugiego 85 kopiejek.

Zamówienia i przekazy adresować należy do Administracji „Ziarna“ z nadmienieniem, że wysłaną sumą (2,50 rb. lub 4,35) przeznaczoną jest na dostarczenie obrazu „Krółów Polskich“.

Zachęcamy raz jeszcze naszych Czytelników do skorzystania z rzadkiej sposobności nabycia dla domu swego pięknej i patriotycznej ozdoby.

Od Administracji.

Prosimy o wczesne odnowienie przedpłaty na kwartał II-gi.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

WP. S. Witk. w Car. Polecamy tylko firmy chrześcijańskie. Poprosiliśmy o wyjaśnienie, które wydawca Plato v. Reusner WPanu wprost na karcie załączonej prześle.

WPani Oskól. w Kod. Wysyłamy książkę i prosimy o przesłanie nam 20 kop. w markach poczt.

WP. M. Paukr. w Ciech. W paczce wystaliśmy 11 egz. „Ziarna“ z 5 dodatkami „Śmiechu“, „Modami“ i 1 książką. Do Nr 12 dodany był Nr 2 „Mód“. Prosimy o wiadomość, czego WPan z tego nie otrzymał.

WP. Marj Ząb. w Skarż. Dostarczyć możemy z r. 1913 Nr 1, 36 i 37 oraz Nr 5 z roku 1914. Na przesyłkę prosimy o nadesłanie w markach pocztowych 20 kop.

WP. J. Kancz. w Cudn. Prosimy w sprawie książek zgłosić się, powołując się na „Ziarno“, do firmy Gebethner i Wolff w Warszawie, Zgoda 12.

TREŚĆ N-ru 13.

Opieka nad rękodzielnictwem. — Piotr Jaxa Bykowski: Pamiętniki włóczęgi. Myszurow (c. d.). — Mogiły haremu, sonet A. Mickiewicza. — W krainę piękną, wiersz F. Pytlińskiego. — Szkoła jezuicka. — Złotnik marcowy. — Kronika polityczna. — Z bliska i daleka. — Ze sceny. — Z ruchu uprzemysłowienia kraju. — Konkurs. — Z piśmiennictwa — Nekrologja. — Zagadka i rozwiązanie. — Królowie polscy. — Od Administracji. — Odpowiedzi Redakcji.

Ilustracje. Andrea del Sarto: Zwiastowanie N. M. Panny. — Grupa współpracowników wraz z kierownikami Domu Handlowego F. Jędrzejowski i S-ka w Warszawie. — Wł. Nałęcz: Mogiły haremu. — F. Sypniewski: Jan Sobieski i Marja d'Arquin w Wersalu. — Lawina w Karpatach.